



**Arkadiusz  
Buczek**

**OPOWIEŚCI  
PORONIONE**

# **Opowieści poronione**

**Arkadiusz Buczek**

Copyright © Arkadiusz Buczek 2004

Copyright © Estymator Jacek Chołoniewski 2020

ISBN: 978-83-957928-3-0

## Spis treści

PODZIĘKOWANIA ...	4
BIAŁA KAWA ...	5
DRAGOLJUB ...	7
DZIEŃ W KTÓRYM ZMARTWYCHWSTAŁ PAN JULEK ...	11
POGRZEB ...	14
PSIUNIA ...	22
TAJEMNICA SAMOBÓJCZY Z ULICY L. ...	24
TRYPTYK O TRZECH WAŻNYCH RZECZACH ...	27
1. KNAJPY ...	27
2. KOBIETY ...	28
3. GORZAŁA I FAJKI ...	28
EPILOG ...	30
BRATERSTWO MIŁOSIERDZIA BOŻEGO ...	31
UPADEK I WZLOT ADAMA K. ...	37
BAJKA O ZACZAROWANYM PSIE ...	43
GÓWNIANE SZCZĘŚCIE ...	47

## Podziękowania

Pragnę złożyć podziękowania paru osobom, które miały swój udział – świadomy bądź nieświadomy – w powstaniu tej książki. Przede wszystkim dziękuję mojej żonie Magdzie za cierpliwość i zrozumienie oraz utrzymywanie mnie w położeniu zbliżonym do równowagi psychicznej. Mojej mamie dziękuję za wsparcie finansowe, bez którego zdechłbym niechybnie z głodu, i dobre słowa. Markowi Węgrzynowi za stałe dostarczanie wrażeń i tematów do pisania, a także za motywację do pracy. Iwonie i Jarkowi Potockim za uratowanie od niewiadomego mojego psa Fausta i wiele pięknych inspirujących chwil. Faustowi za to, że jest moim cieniem i wiernym towarzyszem. Piotrkowi Moskalowi za wszechstronną pomoc techniczną. Andrzejowi Michalikowi za komputer, który ułatwił mi życie. Stacji paliw nr 46 „Orlen S.A.” za piwo promocyjne, które pomogło przetrwać mi wiele pracowitych bezsennych nocy. Poza tym Wojtkowi, Stefanowi, Michałowi, Marcinowi, Bojanowi, Bananowi, Żubrówce, Kazubowi – za różne rzeczy. Wszystkim znajomym barmanom i barmanom z krakowskiego Kazimierza za cierpliwość w stosunku do mojej osoby i obsługiwanie mnie w stanie wskazującym na spożycie. Więcej osób nie przychodzi mi do głowy, ale dziękuję także tym o których zapomniałem...

*Autor*

## BIAŁA KAWA

Nie powinienem był wchodzić do tej kawiarenki, czy też raczej knajpki – obecnie na wszystkie lokale mówi się knajpa – jednak powodowany nagłą potrzebą schronienia się gdziekolwiek, wduśłem do środka oszklone drzwi; przywitał mnie cichy zgrzyt zawiasów. Głupio było mi się wycofać. Wszedłem więc do środka i poczułem niemal fizycznie, jak przechodzę barierę wiosennego chłodu i deszczu. Zostały za drzwiami, z czerwoną tekturową wywieszką „OTWARTE”, które natychmiast zatrzasnęły się za moimi plecami.

Stałem tak w progu i przyglądałem się przez chwilę czterem obecnym klientom, zawartości ich szklanek, ścianom i różnym elementom wystroju. Po jaką cholere tu wlałem?, pomyślałem. Gdzie mam usiąść? Zamówić kawę czy piwo? Może zwyczajnie odwrócić się i wyjść?

– Co będzie dla pana? – Że niby dla mnie?

Dziewczyna oparta o wysoki bar, obdarzyła mnie ciepłym firmowym uśmiechem. Ładna jest, pomyślałem. Rudzielec – takie imię jej nadałem, oczywiście na własny użytek. Albo na użytek własnych kaprysów.

– To co podać? – Nalegała.

Kawa czy piwo? Kawa czy piwo? Kawa...

– Może kawę... Białą. – Spróbowałem uśmiechnąć się, ale chyba mi nie wyszło. Jakoś dziwnie na mnie spojrzała.

Tak naprawdę nie lubię białej kawy, bo to nie kawa. Piję czarną i najlepiej parzoną. Taką cholernie mocną, z dwóch czubatych łyżek stołowych. Ale jak już wspomniałem, nie byłem tego dnia sobą. Od jednej białej kawy nikt jeszcze nie umarł, pocieszyłem się. Chyba.

Gdy ekspres powoli produkował moją porcję kawy, zdążyłem oglądnąć wszystkie rodzaje kieliszków podwieszonych pod górną listwą baru – o dziwo czysto utrzymanych – i wszystkie butelki z alkoholem na półkach. Wytypowałem te, których napiłbym się w pierwszej kolejności. Trochę tego było...

– Kawa. – Szczęk, jaki wydała filiżanka ustawiona na spodeczku, przerwał moje arcyciekawe obserwacje i sprowadził mnie z powrotem na ziemię.

– Dzięki. – Tym razem uśmiech wyszedł mi chyba lepiej, a przynajmniej tak mi się wydało. Położyłem na barze monetę 5-złotową i poprosiłem o popielniczkę.

Usiadłem przy stoliku na wprost drzwi. Niewygodne miejsce, ale tylko tu mogłem mieć święty spokój. Od razu wszystko wyłożyłem na blat – kawę, popielniczkę, z kieszeni płaszcza wygrzebałem wygniecioną paczkę niebieskich gauloises'ów i zapalniczkę – i wgapilem się w ulicę. Dopiero teraz rozpadało się na dobre. Przechodnie skryli się pod parasolami, które na tle mokrej lśniącej ulicy, przypominały wielkie kolorowe kwiaty...

Zapaliłem pierwszego papierosa i zaciągnąłem się głęboko. Wydmuchany dym skupił się nad moją głową na kształt gęstego siwego parasola... Cholera!, wszystko zaczęło kojarzyć mi się z parasolem. Upiłem łyk kawy. Nawet mi smakowała, ale dla efektu wsypałem do niej łyżeczkę cukru i pomieszałem dokładnie, starając się nie „dzwonić” nią o filiżankę. Normalnie nie używam cukru, chociaż lubię słodocze – szczególnie gdy popiję i mój organizm odczuwa niedobór glukozy. Ale cukier? Jakiś koszmar... Hej, facet! Obudź się!

Kolesie siedzący przy stoliku obok, dopili swoje odgazowane piwa i wstali. Co za męczydupy! Ubierając kurtki dyskutowali zawzięcie o jakichś pierdołach, od których przewalały się człowiekowi bebechy. Zupełnie jak ciuchy W automatycznej pralce... Wreszcie byli gotowi do uwolnienia mnie od swojego towarzystwa. Pożegnali się z barmanką i wyszli w deszcz, cały czas gładząc...

Zostałem sam, jeśli nie liczyć Rudowłosej. Może powinienem zainteresować się nią bliżej,